

To, że jesteśmy ludźmi już jest połową sukcesu, da się tłumaczyć.

Rozmowa z tłumaczką Magdaleną Pytlak

Rozmawiają: Eliza Markiewicz i Zuzanna Kierwiak, studentki bułgarystyki w Instytucie Sławistyki Zachodniej i Południowej Uniwersytetu Warszawskiego

Eliza Markiewicz: Dzisiaj mam przyjemność, razem z Zuzanną Kierwiak z Koła Naukowego Sławistów Uniwersytetu Warszawskiego, porozmawiać z Panią Magdaleną Pytlak, naszą gością. Spotykamy się w wyjątkowy dzień, bo dzisiaj jest dwudziesty czwarty maja, który w Bułgarii obchodzony jest jako Dzień Bułgarskiej Oświaty i Kultury oraz Piśmiennictwa Słowiańskiego, jak pewnie wszyscy wiedzą. Ale przypomnę, że jest to Dzień Braci Sołuńskich – Cyryla i Metodego – a także święto cyrylicy, więc rozmowa o literaturze bułgarskiej na pewno jest bardzo dobrym sposobem, żeby w ten sposób uczcić owo święto.

Jak powiedziałam, naszą rozmówczynią jest Pani Magdalena Pytlak – tłumaczka literatury pięknej z języka bułgarskiego, doktorka, literaturoznawczyni, która pracuje również w Instytucie Filologii Słowiańskiej, jest adiunktem Uniwersytetu Jagiellońskiego. I myślę, że wszyscy Panią znamy przede wszystkim z przekładów takich głośnych książek, jak *Fizyka smutku* Georgiego Gospodinowa i *Wzniesienie* Milena Ruskowa. Są to tłumaczenia znane i nagradzane, między innymi Nagrodą Literacką Gdynia w 2018 roku czy Literacką Nagrodą Europy Środkowej Angelus 2019.

Chciałabym zacząć od pytania otwierającego: jakie były Pani pierwsze doświadczenia z tłumaczeniem literatury pięknej? Proszę trochę opowiedzieć o okolicznościach – jak do tego doszło, że została Pani tłumaczką?

Magdalena Pytlak: Zacznę od tego, że bardzo dziękuję za zaproszenie. Bardzo się cieszę właśnie ze względu na dzisiejsze święto. Jest to absolutnie moje ukochane święto bułgarskie, więc *Честит празник!* (bg. Wesołego Święta). Cieszę się, że mogę je z wami świętować w takich przyjemnych okolicznościach. Jeżeli zaś chodzi o tłumaczenie... Jakby sięgnąć pamięcią tak zupełnie wcześniej, to już w nastoletnich latach na własne potrzeby tłumaczyłam z języka angielskiego teksty ulubionych zespołów, znajdowałam błędy w tłumaczeniach filmów, jak mi coś nie brzmiało, coś mi zgrzytało, to sprawdzałam, szperałam. Ten temat mnie podskórnice interesował, oczywiście nie zdawałam sobie wtedy jeszcze z tego sprawy. I potem na studiach filologicznych, kiedy zaczęłam mieć kłopot z dostępem do pewnych tekstów w języku polskim (a kłopot polegał nie na tym, że nie jestem w stanie czytać, tylko na tym, że nie mogę się nimi podzielić z osobami, które są mi bliskie), to zaczęłam takie wprawki tłumaczeniowe na własny czy też domowy użytek, żeby coś pokazać. A to właśnie piosenki, a to jakieś krótkie formy, jakieś opowiadanie. Tak sobie kluczyłam wokół takich właśnie krótszych form, na własny użytek. Nie pamiętam, na którym roku, chyba trzecim, wzięłam udział w konkursie translatorskim organizowanym wówczas przez Bułgarski Instytut Kultury w Warszawie i to wtedy dostałam wyróżnienie. Nie było nagród, nagrody pierwszej nie było, więc tych kilka wyróżnień wydawało się właśnie czymś takim... Połechtaly moje ego i dały poczucie, że coś mi tam z tego wychodzi, że to nie jest tak, że ja się przy tym dobrze bawię, tylko że faktycznie można by coś z tym więcej robić. Potem wybrałam przekładoznawstwo

jako specjalność, jak się okazało nieoficjalną, podczas seminarium magisterskiego i wtedy na potrzeby pracy magisterskiej przetłumaczyłam bardzo obszerny fragment *Ballady o Georgu Henihu*, która niedawno ukazała się jako *Ballada o lutniku* w przekładzie profesor Marioli Walczak-Mikołajczakowej. Wtedy ten tekst i praca nad nim mnie zupełnie pochłonęły. Potem dokończyłam to tłumaczenie. To było takie moje pierwsze tłumaczenie w ciemno. Od tego czasu już bardzo mocno nad tym myślałam. Z resztą sprawia mi to straszną przyjemność. Moja nauczycielka i osoba, która uczyła mnie myśleć o przekładzie, nie znała języka bułgarskiego, była serbokroatką, powiedziała mi, że to się fajnie czyta. Była osobą bardzo surową, czytającą ogrom literatury, więc jej zdanie było bardzo dla mnie ważne. Wtedy z *Balladą* nie udało się przebić. Z resztą *Ballada* musiała czekać bardzo dużo czasu. Tłumaczyło ją wiele osób, co najmniej dwie. Była odrzucana albo obiecywane było przyjęcie tego tłumaczenia, ale ono gdzieś tam zawisało w procedurach wydawniczych. Ja musiałam czekać na swoją szansę aż do spotkania z Georgim Gospodinowem. Miałam prowadzić spotkanie w Krakowie, a byłam już po lekturze polskiego przekładu *Естествен роман*, czyli *Powieści naturalnej*, było tam parę zgrzytów. Byłam wtedy młodsza, dosyć zajadła i taka krytycznie myśląca, mająca mało doświadczenia tłumaczeniowego, bo dopiero w procesie tłumaczenia i redakcji kolejnego i kolejnego widzi się pewne kłopoty, na które natrafia tłumacz. Wtedy nie miałam zupełnie pokory wobec pracy translatorskiej i łatwo mi ją było oceniać. Kiedy Georgi mnie zapytał „Jak oceniasz samo tłumaczenie?”, powiedziałam: „No to może porozmawiamy o tym kiedy indziej. Po spotkaniu”. A on mówi: „Nie, to powiedz mi teraz”. I powiedziałam mu, że widzę różne błędy, przesunięcia semantyczne... A on na to: „Tak? To może zrobisz próbkę tłumaczenia opowiadań?”. No i ja wtedy pomyślałam: „No dobra, to zrobię próbkę tłumaczenia opowiadań”.

I tak się zaczęła profesjonalna, jak się okazało, przygoda. W sumie dzięki Georgiemu, z którym ta przygoda trwa do dziś. Dziś dokładnie, bo jestem w trakcie tłumaczenia jego nowej powieści.

Zuzanna Kierwiak: O nią też oczywiście zapytamy. Jest tutaj cała lista pytań, a nasza ciekawość się nie kończy. Ja tylko dodam, żeby to wybrzmiało, choć wspomnieliśmy o tym na samym początku, że jeżeli ktokolwiek z Państwa chciałby zadać pytanie, to oczywiście prosimy. To ma być luźna rozmowa i spotkanie z okazji święta, a nie sztywne wypytywanie. I jeżeli ktoś się wstydzi i woli nie mówić, to zawsze może napisać i my je przeczytamy. To jest formuła, która nam się sprawdziła ostatnio (patrz: Rozmowa z tłumaczką literatury Martą Dobrowolską-Kierył).

Wracając do tego, co Pani powiedziała – padło już nazwisko Gospodinowa i rzeczywiście jest to autor w Polsce bardzo znany w tym momencie. Jestem bardzo ciekawa, jak Pani ocenia tę twórczą współpracę. Bo przyznam się, zupełnie bezwstydnie, że czytałam różne teksty, które są dostępne w internecie, zarówno wywiady z Panią, jak i Pani felietony. Pamiętam, że w jednym z nich wspomniała Pani, że wszystko, co Gospodinow pisze i robi ma w Bułgarii status ikoniczny. Jest to taka literacka gwiazda, więc jestem naprawdę ciekawa – jak się współpracuje z taką gwiazdą?

M.P.: Warto zaznaczyć, że ten status gwiazdy to taki miecz obosieczny, bo on ma tak samo wielu zwolenników, jak i wrogów. Jest cała rzesza ludzi, którzy nie znoszą – nie wiem, czy też jego pisarstwa – ale jego jako figury. Jak to zazwyczaj jest z osobami, którym się coś tam udaje.

Jednocześnie ja też uważam, że nie ma uniwersalnej literatury, więc każdy może znaleźć coś dla siebie i nie każdemu to pisarstwo musi odpowiadać. A my się znamy już od wielu lat, to jest jedna rzecz. Druga rzecz jest taka, że Georgi jest bardzo skromną i taką prawdziwą osobą. I jest empatyczny, jest bardzo empatyczny, tak jak jego bohater, narrator w *Fizyce smutku*. I w ogóle nie ma w sobie nic z takiego zadęcia, wręcz przeciwnie, jest skromny i miły. Zresztą gdy my się poznaliśmy, to on w Bułgarii był już bardzo znany i część jego twórczości już się o tę kultowość otarła, natomiast tu jeszcze zupełnie tak nie było i nasz kontakt na początku miał taki bardzo personalny, nieformalny charakter i chyba udało się to tak jakby obejść. I chyba tak jest z bliskimi – zapominam ciągle, że on jest tak znany i po prostu jest mi bliską osobą. Bo ja go bardzo lubię jako człowieka po prostu, mam nadzieję, że z wzajemnością. I mamy taki kontakt czysto ludzki, poza literaturą, chociaż o literaturze dużo rozmawiamy, ale też o innych rzeczach. Więc dla mnie nie istnieje ta płaszczyzna gwiazdorska, że tak powiem.

E.M.: Nie wychodząc z tego tematu Georgiego Gospodinowa, chciałabym zapytać – właśnie ze względu na to, że Pani tłumaczy teraz jego najnowszą powieść *Времеубежище*, która zresztą dostała właśnie bułgarską nagrodę Powieści Roku – właśnie o tę najnowszą powieść. Czy widzi ją Pani jako potencjalny sukces na polskiej scenie literackiej, właśnie na miarę *Fizyki smutku*? Miałam okazję już ją czytać, oba utwory się od siebie trochę różnią, ale jestem bardzo ciekawa polskiej wersji. Czy może Pani zdradzić tytuł albo jakieś szczegóły?

M.P.: Nad tytułem myślałam, dlatego że *времеубежище* jest pięknym jednym słowem i korciło mnie, żeby zrobić z tego jakiś *czasoschron*, ale nie ma takiego słowa, prawda? Jednak *времеубежище* jest od *бомбоубежище*, czyli od słowa istniejącego, jest neologizmem, mocno osadzonym na czymś takim twardym i w jakiś sposób zatrważającym, bo jednak schron przeciwbombowy jest miejscem zatrważającym. Konieczność istnienia schronu przeciwbombowego jest zatrważająca. W związku z tym ten *czasoschron* zabrzmiał mi trochę jak czasoumilacz z niegdysiejszej reklamy, więc stwierdziłam, że nie. Może *zasochron* w takim razie, ale, na wzór *falochronu*, to jest ochrona, nie ma już schronu tam. To nie jest twarde, to nie jest mocne, a musi być silne. Więc będzie *Schron przeciwczasowy*. Po prostu, na wzór schronu przeciwbombowego. Czy ta książka ma potencjał na polskim rynku wydawniczym na miarę *Fizyki smutku*? Nie wiem. Nie wiem, bo rynek wydawniczy w ogóle jest... Tak dużo się tłumaczy, tak dużo się wydaje... Myślę, że polscy czytelnicy Gospodinowa nie będą zawiedzeni. Myślę, że te oczekiwania nie będą aż tak nabrzmiałe, jak w przypadku Bułgarii, bo proszę pamiętać, że *Fizyka* została napisana w 2011 roku, ukazała się pod koniec 2011 roku. I ta nowa powieść wychodzi prawie 10 lat później. W międzyczasie oczywiście były eseje, był zbiór opowiadań i kilka innych rzeczy, natomiast tam to oczekiwanie było dużo większe. Tutaj polski czytelnik dostanie ją dużo szybciej. Na pewno są jakieś oczekiwania, ale wydaje mi się, że będzie taka ciekawość i taka otwartość, że właśnie będzie w tym dużo otwartości. I z tego, co wiem sporo osób czuło niedosyt po *Fizyce*, zainteresowało się pisarzem, więc jeżeli ktoś sięgnął po wcześniejsze tłumaczenia, to łatwo dojrzał ten fakt przechodzenia motywów, bohaterów, myśli, autocytatów, autoplagiatów i tak dalej, i tak dalej. Pod tym względem ta zabawa trwa nadal. Mimo że ta powieść jest inna. Ma oczywiście te elementy mocno Gospodinowskie. Zresztą sam Georgi też wielokrotnie o tym mówił, że trochę tak jest, że on jedną książkę pisze cały czas, prawda? I jego twórczość tak właśnie można czytać,

niezależnie od gatunku. Bo to nie tylko opowiadania i nie tylko proza, ale też dramaty, ale też poezja przede wszystkim. Wszystkie elementy się przenikają i powtarzają. Więc pod tym względem myślę, że nie będzie takiej gatunkowej niespodzianki, ale inne niespodzianki będą jak najbardziej.

Z.K.: Wiem, że *Fizyka smutku* ten ogromny sukces odniosła. Widzę to po mojej mamie, która z Bałkanami nie ma nic wspólnego, a oczywiście *Fizykę smutku* nabożnie przeczytała. Natomiast jeszcze zanim wjedziemy trochę głębiej w te polskie tłumaczenia, to ja mam pytanie zupełnie na marginesie i z ciekawości – który utwór Gospodinowa (oczywiście jeszcze z tych nieprzetłumaczonych) jest Pani ulubionym?

M.P.: Ja bardzo, bardzo lubię jego debiutancki tomik poezji *Черешата на един народ* i to chyba jest ciągle mój numer jeden. Zawsze gdy wracam do tych wierszy, to po prostu jakoś odczytuje je na nowo. Uwielbiam je. Po prostu bardzo, bardzo je lubię. I tak, chyba ta poezja byłaby moim numerem jeden. Ale ogólnie lubię jego twórczość, więc to trudne pytanie.

E.M.: Chciałam w takim razie zejść na temat trochę bardziej językowy, bo zainteresował mnie język, który wydawał mi się mieć potencjał problemotwórczy, jeśli chodzi o tłumaczenie *Wzniesienia*. I chciałabym zapytać, oczywiście nie tylko w kontekście tej powieści, jakie trudności widzi Pani w samym procesie twórczym, w samym procesie tłumaczenia, co sprawia Pani największą trudność. Podejrzewam, że to bardzo zależy od tłumacza, osoby, utworów, na jakie się decyduje, ale czy ma Pani właśnie takie doświadczenie, że jakiś element, może właśnie językowy, był bardzo trudnym elementem Pani pracy?

M.P.: Jeśli chodzi o *Wzniesienie*, muszę zdradzić kulisy. Ja bym się nie porwała z motyką na słońce. Absolutnie bym nie pomyślała o tłumaczeniu tej powieści sama z siebie, bo ona jest trudna. Ona jest trudna w odbiorze dla samych Bułgarów, więc przenoszenie jej do polskiej kulturosfery to porwanie się z motyką na słońce. Nawet nie chodzi o warstwę językową, tylko o tę całą zabawę literacką z odrodzeniem, z Rakowskim, z wieloma rzeczami. Ze współczesnością również. Ale książki wydaje się w bardzo specyficzny sposób, a zainteresowanie nimi, szczególnie literaturą bułgarską do tamtego czasu (myślę że *Fizyka* otwiera tu pewne drzwi), było głównie takie, że albo jest finansowanie zewnętrzne, albo go nie ma. *Wzniesienie* dostało Europejską Nagrodę Literacką, czyli znalazło się w takim pakiecie sugerowanym do tłumaczenia. Europejska Nagroda Literacka jest przyznawana na podstawie streszczeń anglojęzycznych, więc komisja wewnętrzna danego kraju typuje daną książkę. Myślę, że komisja bułgarska wywinęła niezły numer, typując tę książkę do tej nagrody akurat, bo ona przecież wiele nagród dostała w Bułgarii. Tutaj moim zdaniem wyszło bułgarskie poczucie humoru. Ta książka dostała nagrodę, została wytypowana i to wydawca się do mnie zgłosił. Ja musiałam zawalczyć potem o ten przekład, bo się okazało, że pula tłumaczeniowa jest troszkę szersza, tak zdradzę, więc było ciekawie. W przypadku *Wzniesienia* kłopotem było wymyślenie całego idiolektu, całego języka na tę powieść. Bo potem jak już weszłam w ten język, w ten świat, w ten skaz Gicza, czyli głównego bohatera, to już szło wartko. Tym bardziej, że ja sobie zostawiłam to tłumaczenie na wakacje i właściwie nic innego nie robiłam, tylko siedziałam w tym tekście, właśnie po to, żeby się w nim zanurzyć, bo przy takim tekście trudno

jest wskakiwać i z niego wychodzić. Bardzo jest absorbujący i łatwo stracić taki element, który się samemu wybrało, wymyśliło. Więc kłopotliwe było znalezienie odpowiedniego języka, który w jakimś stopniu odda złożoność, w jakimś stopniu odda sztuczność czy zabawę językiem samego autora, a z drugiej strony nie skaże tego tekstu na niebyt. Bo gdybym przedobrzyła, to po prostu nikt już by tego tekstu nie przeczytał. Na początku myślałam o tym w trakcie poszukiwań języka do *Wzniesienia* Ruskowa. Zupełnie przypadkiem wpadłam na korespondencje polskich emigrantów do Stanów Zjednoczonych, takich półpiśmiennych, którzy zapisywali polszczyznę tak, jak ją słyszeli. Są to przedziwne teksty, bo one są ortograficznie zupełnie nieprzystające do polszczyzny jaką znamy, a jednocześnie same konstrukcje to listy osób, które nie posługiwały się na co dzień językiem pisanim, nie były to osoby wykształcone. I korciło mnie to, żeby zrobić taki eksperyment językowy, ale potem stwierdziłam, że to byłaby zabawa dla mnie. Zbudowałabym tym samym bardzo wysoki mur, zbyt wysoki mur między tekstem a czytelnikami i stwierdziłam, że pójdę w taki chaos, momentami bełkot, ale jednak czytelny. I oczywiście, jak w przypadku każdego tłumaczenia i każdego tekstu, a tego wyjątkowo, od razu trzeba założyć, że na pewnym poziomie poniesie się klęskę i sporo strat. Te straty są zawsze wpisane w przekład, można je wkomponować w innym miejscu i fajnie, jeśli się da. To jest teoria, ale praktyka bywa różna, prawda? Przy tym tekście to pogodzenie się z tą stratą już na samym początku też było dosyć trudne. Trzeba było powściągnąć ego (śmiech).

Z.K.: Mówi Pani, że język we *Wzniesieniu* to taki kreatywny problem, ale dokopałam się też do takich opinii, że nawet sama *Fizyka smutku*, która jednak ma język współczesny, była wyzwaniem. Słyszałam, że Gospodinow mówi, że bułgarski smutek po prostu przekładalny nie jest. I jak Pani reaguje na takie stwierdzenia, czy Pani się z nimi zgadza, co w tym tłumaczeniu bułgarszczyzny się traci?

M.P.: Oj chyba najbardziej brzmienie. Mimo że mam ten przywilej, że pracuję w dwóch językach słowiańskich i uważam, że język angielski czy niemiecki w ogóle nie mają szansy choć trochę oddać takiej brzmieniowej bliskości, to i tak systemy językowe polski i bułgarski są zupełnie różne. Brzmienie, słowotwórstwo... To, co da się zrobić z dźwiękiem. Lubię Gospodinowa jako poetę, ale też jego prozę czytam jak poezję. Jego teksty są mocno przemyślane, jeśli chodzi o formę brzmieniową. I to jest ten kłopot. Jednym z takich elementów jest smutek, który zresztą sprawił kłopot już na samym poziomie tytułu. *Тъза* to nie jest smutek *de facto*. Ale trzeba było podjąć decyzję. Po francusku i włosku na pewno wybrano jednak melancholię. Po polsku można było wybrać tęsknotę. Można było wybrać nostalgię. Ale brzmienie... Czułam, że ten tekst potrzebuje krótkiego słowa. Stąd *Fizyka smutku*, która mnie jakoś nie zadowalała, bo przecież tym nie jest. Być może właśnie tęsknota byłaby najbliższym i najfajniejszym, ale *Fizyka tęsknoty*? Nijak mi nie brzmiało, więc to jest ten duży kłopot – samo brzmienie właśnie. Bo ekwiwalencja, znalezienie tego samego w innym języku, to jest w ogóle kłopot tłumaczenia i znajdzie się w każdej parze językowej. To jest po prostu nieodzowna część przekładu, natomiast dla mnie ta strona brzmieniowa jest bardzo ważna. Co jest dla mnie jeszcze trudne? Fałszywi przyjaciele, bo to jest ta druga strona medalu, że przy bliskich językach jesteśmy w stanie czasami dokładnie tak fajnie coś oddać i mieć pewność, że to właśnie i brzmi, i znaczy, ale czasami nas zwodzi na manowce, więc absolutnie praca

tłumacza, szczególnie właśnie między tak bliskimi, a dalekimi jednak językami, wymaga ciągłej czujności i mówienia sobie „Cały czas sprawdzam”. Ja czasami po prostu sama podkopuję nawet najprostsze słowa, siebie i swoją pewność i mówię „Sprawdź, sprawdź” i sprawdzam. Siedzę ze słownikami, oczywiście też internetowymi, chociaż papierowe dają jakieś takie wytchnienie, oderwanie się od monitora. Natomiast ten proces wcale nie jest łatwy, właśnie z takiego względu. Jest mozolny, bo ja nie mam zaufania. Tracę je, kiedy tłumaczę.

Z.K.: Zastanawiałam się, czy o to zapytać, bo absolutnie nie chcę, aby zabrzmiało to jak jakaś romantyczna historiografia, ale zafascynowało mnie właśnie to konkretne zdanie, że ten smutek może być nieprzekładalny. Jestem ciekawa, czy oprócz tych rzeczywistych trudności, które też Pani wymienia, widzi może Pani jakiś bardziej abstrakcyjny problem z oddaniem mentalności, z oddaniem ducha, czy też nigdy nie było to problemem?

M.P.: Na pewno. Wydaje mi się, że bardziej jest to kwestia wrażliwości i odbiorcy, nie do końca jest to kwestia narodowości. Myślę, że nieposiadanie słowa, jednego ekwiwalentu na jakieś uczucie wcale nie oznacza, że tego uczucia nie ma. Oczywiście coś się traci, coś się odnajduje w tekście, ale w momencie, w którym czytelnik się odnajduje, odnajduje też pewne analogie i one mogą być bardzo różnego poziomu. Krzysztof Varga napisał, że to jest jego historia, historia całego pokolenia, niezależnie od tego, czy się wychowało w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych na Węgrzech czy w ówczesnej Czechosłowacji, czy w Polsce, czy w Bułgarii właśnie. Jak się okazuje, dla niego jest to jakieś tam miłe zaskoczenie, według niego jest to historia pokoleniowa po prostu. Dla innych, tak jak dla mnie, jest to historia pewnej wrażliwości, więc myślę, że tutaj taki sposób postrzegania świata może być ponadnarodowy, ale nie jest uniwersalny, nie jest jednaki dla wszystkich i pewnie też nie jest jednakowy nigdy, ale myślę też, że wewnątrz jednej kultury nie odbieramy rzeczy jednakowo. Ja jestem optymistką pod tym względem, jestem wychowanką hermeneutyki przekładowej jako szkoły translatorskiej i uważam, że to, że jesteśmy ludźmi już jest połową sukcesu, da się tłumaczyć. Mamy dwie ręce, dwie nogi, dwoje oczu. Chodzimy po ziemi. Czasami się nad nią unosimy, czasami mocno stąpamy, ale ta ziemia jest tutaj pod nami. Oczywiście możemy jeść jajecznicę albo lutenicę, ale to nie zmienia tego, że będziemy ją jeść ręką. W pierwszym momencie. Widelcem, łyżką, zależy, co to jest, albo na chlebie. Tak, myślę, że gdzieś u podstaw dużo nas łączy jako gatunek ludzki i dlatego tłumaczenie w ogóle jest możliwe i dlatego ciekawość innych kultur jest w ogóle i dlatego warto przekładać.

E.M.: Pozwolę sobie zadać pytania bardziej interesujące mnie i Zuzannę ze względu na nasze zainteresowania naukowe. W jednej z rozmów z Mitkiem Nowkowem do książki *Намерени в превода* (*Odnalezieni w tłumaczeniu*) wspomina Pani o Teodorze Dimowej w kontekście książek, które zrobiły na Pani wrażenie. Wyjątkowo interesujące wydaje mi się to, czy uważa Pani, że literatura bułgarska tworzona przez kobiety jest w jakiś sposób wyjątkowa. Czy te *Matki* są jakimś takim elementem wyciągniętym, który zrobił na Pani wrażenie? Czy może jest jakaś tendencja, którą Pani widzi? Czy są jakieś elementy, które Panią może zachwycają, a może z kolei niepokoją? Czy ta literatura tworzona przez kobiety jest świecie literackim Bułgarii ważna?

M.P.: Uważam, że literatura tworzona przez kobiety w Bułgarii jest bardzo ciekawa. I ja miałam takie wyzwanie wobec siebie, trochę osobiste. Najpierw osobiste zawirowania i pandemia, jednocześnie skończyłam pracę nad projektem. I myślę, że muszę przetłumaczyć kobietę wreszcie, pisarkę. I miałam kilka typów. Natomiast odzyskiwanie języka przez kobiety i ten kobiecy punkt widzenia – nieco inny jednak ze względu na doświadczenie kobiet w historii – jest w ogóle kwestią bardzo ciekawą. Ja tu widzę bardzo duży potencjał, z jednej strony oczywiście potencjał badawczy, bo ta literatura po pierwszym emancypacyjnym, po raz kolejny zresztą, momencie musiała wybrzmieć, wykrzyczeć swój feminizm i swoją emancypację, czasami wzorując się na zachodnich wzorcach. Musiała być głośna i przerysowana. To zabiegi znane z wielu wykluczonych środowisk. Natomiast od paru dobrych lat mam wrażenie, że to już okrzepło i teraz właśnie tworzone są bardzo ciekawe teksty i oczywiście można stanąć na stanowisku, że nie ma podziału na literaturę kobiecą i męską. Wierzę w to, że nie ma literatury dla kobiet i dla mężczyzn. Natomiast uważam, że faktycznie zdominowanie przez męski punkt widzenia, męski – chciałabym powiedzieć – sentymentalizm, gdzieś już się kończy i teraz jest czas na tę literaturę kobiecą i myślę, że w Bułgarii nie odbiega ona od innych krajów. Fakt, w Bułgarii pewnie pisać kobietom było trochę trudniej, bo Bułgaria jednak jest bardziej na południe, więc jest bardziej maczystycznym krajem, patriarchalnym. Dłużej z tego wychodzi po prostu. Dłużej trwają te procesy emancypacyjne, zajmują trochę więcej czasu. Pozycja kobiet twórczyń jest troszkę inna. Natomiast wydaje mi się, że ta literatura jest bardzo ciekawa i bardzo fajna kobieca, bardzo intrygująca, jest inna niż to, co do tej pory w męskim wydaniu.

Z.K.: Kontynuując wątek, zapytam, czy może ma Pani taką intuicję jako literaturoznawczyni, jakie teraz są ogólnie inwencje w literaturze bułgarskiej? Czy różnią od naszego rodzimego gruntu czy też nie?

M.P.: Ja w ogóle jestem daleko od określania tendencji, bo wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach literatura jest zdemokratyzowana i właściwie pisać może każdy. Z jednej strony mamy twórców bardzo świadomych, bardzo często filologów albo wręcz literaturoznawców i w Polsce oczywiście, i w Bułgarii. Z drugiej strony mamy ludzi, którzy mają coś do powiedzenia, kochają słowo albo nie kochają, ale mają coś do powiedzenia albo im się wydaje, że mają coś do powiedzenia. W tym momencie bardzo dużo się pisze, bardzo dużo się wydaje, ale tendencje się tak naprawdę odgaduje historycznie, później, jak już pewien etap zamykamy i wtedy możemy sobie wyciągać mianowniki. Wydaje mi się, że nie ma takiego konkretnego elementu czy tendencji, które mogłabym wskazać. Zresztą nie czuję takiej potrzeby. Są ciekawe elementy, które warto zauważyć. Na przykład, jak w przypadku literatury bułgarskiej, że o pewnych rzeczach zaczyna się mówić w ogóle. I literatura jest taką najgłośniejszą, największą tubą i ona najgłośniej i najlepiej według mnie jest w stanie skatalizować pewne procesy, od okłamywania czy odmilczania pewnych elementów. I w Bułgarii byłoby to rozliczenie się z komunistyczną przeszłością, ale początków komunizmu, czyli lat międzywojennych, terroryzmu i tego, co się potem wydarzyło, czyli zaraz po 1944 roku, a więc to, że wraz z Armią Czerwoną szedł nowy świat, nowi ludzie. W Bułgarii wykonywano egzekucje na wielką, wielką skalę i przez długi czas o tym nie myślano i nie mówiono, nie wspomniano, bo najpierw nie było wolno, a potem nastąpiła wolność i zachłyśnięcie się nową rzeczywistością. I to w

literaturze widać na przykład. Oczywiście są takie elementy, które są ciekawe i które już można wskazać i tego rodzaju tendencje bym raczej widziała. Nie stylistyczne, ale podejmowanie tematu takiej posttraumatycznej działalności. Czy pracy z traumą w ogóle.

E.M.: Ja może wrócę do części bardziej praktycznej. Bo tym, o co nie zapytałyśmy, a co wydaje mi się istotne, jest część samej pracy i różnicy pomiędzy pracą tłumacza a pracą pisarza. Czy miewa Pani może niemoc twórczą?

M.P.: Myślę, że w obu tych przypadkach zmęczenie jest największym wrogiem. Niemoc twórcza to nie jest to słowo, znam ją doskonale z pisania artykułów naukowych na przykład, więc wiem czym ona jest (śmiech). W przypadku tłumaczenia to może być taka niemoc ogólna. I w związku z tym może być częstsze zacinanie, potykanie się na różnych elementach, brak takiej perspektywy przestrzeni, która jest absolutnie konieczna, żeby dać tekstowi przestrzeń i możliwość wybrzmienia. Taka czysta głowa, przez którą można przepuszczać tekst. Niektórzy tworzą na fali jakiegoś półzmęczenia czy półświadomości, półsnu czy środków odurzających. W przypadku tłumaczeń jest to zupełnie niemożliwe, bo jest to jednak praca twórcza, ale mocno osadzona na czyjejś pracy. To chyba najfajniejsze porównanie do innej działości, to jest do muzyki – kompozytor komponuje, ale potem to wykonanie jest też ważne, jest jednostkowe, indywidualne i też od wykonującego dany utwór zależy, jak on wybrzmi, co się zaakcentuje, na co zwróci się uwagę i czy się go nie położy po prostu, nie spłyci.

Z.K.: Powiedziałyśmy o Bułgarii, powiedziałyśmy trochę też o Pani doświadczeniach. Ale proszę jeszcze zaspokoić moją bułgarystyczną ciekawość – jakie ma Pani wrażenia czy doświadczenia z polskim rynkiem tłumaczeń z bułgarskiego, gdzie w czasie PRL-u te tłumaczenia istniały i miały się dobrze, były dotowane i tak dalej. Teraz, jak wiadomo, sytuacja wygląda kompletnie inaczej. Jak Pani ocenia to pole?

M.P.: Myślę, że tu naprawdę się wiele zmieniło, właśnie dzięki temu sukcesowi *Fizyki smutku*, w odbiorze profesjonalistów, ludzi zajmujących się literaturą. „Literatura bułgarska? Co tam jest? A możesz podać jakieś nazwisko?”. Nieliczni mieli jakieś pojedyncze wspomnienia na temat Radiczkowa, jakieś wydanie z bibuły jeszcze, bo czytali *My, wróbelki* dzieciom albo z dziećmi. To bardzo pojedyncze przypadki. Ale przecież te książki ukazywały się, tylko ten rynek jest tak przepastny, że one nie miały szansy zaistnieć, wybrzmieć odpowiednio. Tak wygląda brutalna rzeczywistość – potrzeba było sukcesu i dzięki sukcesowi *Fizyki smutku* i temu, że ukazała się w dużym wydawnictwie, a także dzięki całej sprawności promocyjnej Wydawnictwa Literackiego, książka ta po prostu biegła od tego takiego profesjonalnego czytelnika, nie tylko statystycznego, ale literaturoznawczego w ogóle, przez takich zainteresowanych nowymi trendami, nowymi światami, po takich, których zawsze Bułgaria interesowała, a nie do końca mogli się odnaleźć literacko, po *bookstamerów*, tak to się nazywa? Robienie sobie zdjęć książką na instagramie. Więc ta książka zaistniała na wielu polach i dzięki temu ta literatura przestała być takim „Co? Literatura bułgarska? A jakąś jedną książkę pokaż”. A ty wskazujesz dziesięć. „No nie słyszałem/nie słyszałam”. Większość ludzi, którzy czytają, coś tam słyszało i wydaje mi się, że dzięki temu literatura bułgarska ma szansę. I teraz każda kolejna książka, która się ukazuje, ma większą siłę przebicia. To pokazuje już *Ballada o*

lutniku, zaraz przez Książkowe Klimaty wydana zostanie książka Złotka Enewa i też już ze środowiska recenzyjnego wiem, że się recenzuje i już dostaję różne wrażenia z jej lektury. To było ważne i uważam, że to jest szansa i jakaś taka inna karta się odsłania dla literatury bułgarskiej. Bardzo się z tego cieszę, jestem małą częścią tego, bo uważam, że literatura po prostu na to zasługuje.

Katarzyna Szybisty: Jak to się stało, że się udało tak wybić *Fizykę smutku*? Jak się udało dostać do tego wydawnictwa? Czy to jest zasługa samego Georgiego Gospodinowa, który dobijał się na ten rynek, czy to wydawnictwo w takim wypadku się zgłasza, czy to Pani próbowała złączyć te dwa światy?

M.P.: Georgi miał polskie wydawnictwo. Najpierw pierwsze dwie jego książki wyszły w Pograniczu, ale rozmawialiśmy dużo o tym, że Pogranicze jest absolutnie wspaniałym wydawnictwem, ale jest dosyć hermetyczne. W ogóle same Sejny, Krasnogruda, Krzysztof i Małgorzata Czyżewscy – to środowisko jest w innym, wspaniałym rytmie, natomiast nie do końca przystającym do tego nerwowego rynku książki, gdzie trzeba się przebić. To była decyzja, którą ja wspierałam, że trzeba poczekać na większego wydawcę. Walka ta trwała długo. Wydawnictwo Literackie mi odmówiło. Dużo wydawnictw mi odmawiało. Wydawnictwo Literackie odmówiło nawet wtedy, kiedy Olga Tokarczuk się wstawiła za tą książką. Więc jak to się stało? Stało się tak, że angielskie tłumaczenie dostało nagrodę Jan Michalski Prix. – polityki przekładowe i życie polityki wydawniczej wyglądają bardzo brutalnie. Jan Michalski był jednym ze współzałożycieli Wydawnictwa Literackiego i po jego śmierci żona stworzyła właśnie taką nagrodę, jest też jedną z właścicielek tego wydawnictwa. Gdy książka została nagrodzona, to siłą rzeczy Wydawnictwo Literackie postanowiło ją wydać. Wtedy zwrócili się do mnie znów z prośbą o tłumaczenie. I dalej to już ich niesamowita skuteczność promocyjna i tak dalej. Plus to, że najpierw tłumaczenie zostało dostrzeżone i była nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia, a potem już ten sukces Angelusowy. I to, że te wszystkie elementy były tak rozbite w czasie, bo książka wyszła w 2018 roku, nagrody i nominacje były w 2019 roku. Dzięki temu się tak rozpędzała i miała długi czas. W związku z tym tekstów na jej temat, analiz i różnych innych przybywało.

K.Sz.: Czy w takim razie nie pojawiła się presja, żeby przetłumaczyć ją jak najszybciej? Taka presja czasowa, że książka powinna znaleźć się jak najszybciej na rynku, nie wpływa negatywnie na pracę?

M.P.: Nie, wtedy jeszcze miałam czas, wtedy nie było presji. Teraz przy tej książce jest presja. Ja teraz tłumaczę, mając czteromiesięczne dziecko i to jest bardzo trudne dla mnie doświadczenie, ale jednocześnie moja jakaś miłość do tej kultury, literatury nie pozwala mi odmówić. Mogłam odmówić, ale wtedy premiera tej książki z jesieni tego roku byłaby przełożona. Teraz gnamy po prostu. Ja gnam, potem redakcja pogna. Proszę trzymać kciuki (śmiech). I to jest trudne doświadczenie, jednocześnie nie odpuszczam jakości, po prostu nie jestem w stanie, nie umiem tego zrobić, jak nie byłam w stanie dopuścić do tego, żeby ta książka się nie ukazała, bo gdzieś czuję się w obowiązku i wiem, że na tę falę trzeba było wsiąść, bo potem mogło być różnie. Założyłam sobie tyle czasu, że robię to odpowiednio do

okoliczności, które nie są łatwe, ale muszę mieć tę pewność. I również z wydawcą, z redaktorem prowadzącym ustalaliśmy to, że będę potrzebowała wyjątkowego wsparcia i takiej czujności razy kilka. W pierwszym wypadku też miałam świetną redaktorkę, ale że takiej wnikliwej redakcji będę potrzebowała w związku z tym. Jednak strach zawsze jest, bo nieraz przekonałam się, że umysł płata figle, że czasami po prostu się napisze coś, co siedzi w naszej własnej głowie. Mamy tekst i nagle wychodzi z nas coś, co jest przefiltrowane przez nas, jest naszą własną myślą, naszym własnym odbiorem świata, jest zbyt przefiltrowane. W ogóle trzeba być bardzo czujnym zawsze.

E.M.: Kończąc powoli, ponieważ zbliżamy się do końca naszego spotkania, chciałabym zadać pytanie, które dostała Pani na czacie od Pani Yordanki. Czy uważa Pani, że praca ze studentami nad tłumaczeniem prozy i poezji w ramach zajęć lektoratowych jest pożyteczna w takim sensie, że pozwala studentom rozwijać swoje umiejętności, ale też zachęca ich do obrania kierunku zawodowego tłumacza?

M.P.: Zdecydowanie. Nauka przez przekład jest moim zdaniem bardzo ważna i bardzo efektywna. Właśnie dlatego, że jest twórcza i niesie w sobie inny potencjał. Jednocześnie uważam, że takie ćwiczenia przekładowe – jako wspierający element – powinny być osobnym przekładem. Kiedy ja studiowałam, mieliśmy przekład w ramach zajęć. Potem zapadła taka decyzja, że jeden z lektoratów jest poświęcony przekładowi. Chociaż nie... Mieliśmy ćwiczenia przekładowe, na których trzeba było przejść przez wszystkie rodzaje tekstów. Prowadzący musieli nam zaproponować wszystkie rodzaje tekstów. Natomiast u nas teraz w programie są osobne, czyli na pierwszym stopniu są po prostu ćwiczenia translatoryczne, takie bardzo ogólne, wprowadzające, natomiast na studiach magisterskich jest przekład tekstów prawnych i ekonomicznych, tekstów humanistycznych, przekład ustny i przekład artystyczny tekstów literackich. Wydaje mi się, że to jest super, jeżeli jest taka możliwość. Oczywiście nie zawsze jest. Bardzo ważne jest samo pokazanie takiego bogactwa i tego jak różne teksty różne wymagania ze sobą niosą. Ale istotna jest też kwestia mocowania się z jednym słowem, a bardzo często przekład polega na tym, że próbujemy znaleźć odpowiednie słowo, co wpływa też na to, że poszerzamy swoją znajomość i kultury, i języka, bo to słowo bardzo często zapada w pamięć z dużo większą siłą niż po prostu słówko ze słowniczka.

Yordanka Ilieva-Cygan: Przy okazji pozwolę sobie nieskromnie zapytać, co myślisz jako profesjonalista o naszym ostatnim tłumaczeniu, które ci dzisiaj podesłałam?

M.P.: Było ono na prywatnym kanale, więc nie wiedziałam, czy mogę zagadać. Po pierwsze bardzo dziękuję, chyba nigdy nie dostałam takich pięknych życzeń na dwudziestego czwartego maja. Bardzo mi się podoba! I chciałam zapytać, czy omawialiście te wybory i technikę tego, jak podchodzicie do tekstu. Czy rozmawialiście o różnych stratach, różnych kompetencjach, czy szliście na żywioł i ustawiliście sobie dominantę brzmieniową? Bo tu jest ewidentnie brzmieniowa dominantą i ten rym. No i temat też...

Y.I.-C.: Niektórzy z moich studentów, z którymi razem nad tym pracowaliśmy, są tutaj obecni. Technik *stricte* teoretycznych nie omawialiśmy, ale dużo się wspólnie zastanawialiśmy, że są

pewne straty, które ponosimy, pewne rzeczy, które trzeba zmienić, że nie ma pietruszki w kulturze bułgarskiej i trzeba to zamienić czymś, co jest najbliższe, stąd wziął się ten пащърнак (pasternak). Może sami studenci by chcieli coś na ten temat powiedzieć, ale z mojego doświadczenia widzę, że bardzo im odpowiada ta praca i faktycznie bardzo ich motywuje do zastanawiania się nad tym, który wybór jest najlepszy – czy najlepszym wyborem jest zachowanie rymu czy coś innego? Ale jak się uda, to jest...

M.P.: Satysfakcja z powstałego już tekstu! I tak fajnie to wykonaliście, więc myślę, że tu frajda była na wielu poziomach.

K.Sz.: Chociaż myślę, że w ogóle najtrudniejsze, przynajmniej dla mnie, są te przekłady z polskiego na bułgarski. Nie aż tak duże zanurzenie w kulturze bułgarskiej, jak w przypadku wspomnianego pasternaku, było kwestią, o której my na początku w ogóle nie pomyśleliśmy. Dla nas pietruszka to pietruszka, a to, że Bułgarzy znają pietruszkę jako liście pietruszki już nie oddawało tej bledości warzywa. To już nie mogła być ta bleda pietruszka. Myślę, że to jest bardzo duża zabawa, ale też bardzo wymagająca, jeśli chce się zachować ten element zabawy, a nie tylko wierność tłumaczenia. Myślę, że w ogóle te wierszyki dla dzieci są bardzo wymagające, bo już kilka przetłumaczyliśmy i są dość trudne, jeżeli nie ma się łatwości w przeskakiwaniu między dwoma kodami kulturowymi.

M.P.: Tak, poezja – niezależnie od tego, czy jest poezją dziecięcą, a szczególnie jeżeli są to wiersze regularne – to bardzo duże wyzwanie. W ogóle przekład na język obcy, język, który nie jest naszym pierwszym językiem, nawet w przypadku dokumentów, potrafi być po prostu trudny i zawsze jest dużo trudniejszy niż przekład na język ojczysty.

Z.K.: Niestety kończy nam się już nasz wspólny czas. Czy ktoś z Państwa chciałby jeszcze coś dodać? Może jakieś ostatnie pytanie?

Uczestnik: Nie mam problemu z zabieraniem głosu w tym sensie, że się wstydzę, tylko nie chciałem Państwu zabierać tego wspólnego spotkania, bardzo dobrze poprowadzonego, gratuluję. Nie kryję, że z Magdą znamy się od wielu lat i jesteśmy na ty, ponieważ pracujemy wspólnie, więc nie będę tutaj ukrywał naszych bezpośrednich relacji, ale wbrew pozorom my, spotykając się, nie rozmawiamy na temat przekładów i różnych kwestii z tym związanych...

M.P.: Mimo że byłeś jednym z prowadzących zajęcia przekładowe!

Uczestnik: No to cieszę się, że z takim efektem, choć to twoja zasługa oczywiście i twój sukces. Natomiast, żeby przejść do meritum, chciałbym cię zapytać o rzecz następującą. Przekładanie pisarza, a zwłaszcza takiego żyjącego, współczesnego jest w pewnym sensie wchodzeniem w jego sposób narracji, w jego sposób pisania, wypowiedzania się, postrzegania świata. Jest to oczywiście dużo łatwiejsze, kiedy mamy do czynienia z pisarzem współczesnym. Trudniejsze, kiedy trzeba przetłumaczyć kogoś z wcześniejszych epok. Ponieważ w twoim przypadku jest też tak, że się znasz osobiście z autorami, jak powiedziałaś, masz więc emocjonalną z nimi również na stopie takiej osobistej, pojawia się pewna symfonia

wypowiedzi oryginalnej pisarza i tego twojego stylu przekładania, wejścia w sposób myślenia. Pytanie moje jest następujące: jak sądzisz, czy pisarz powinien być na jakiś język przekładany przez jednego tylko tłumacza, czy jest to też ograniczanie tej jego twórczości, w związku z czym lepiej odbieramy ją, kiedy tłumaczy wiele osób. I jeśli mogę od razu drugie pytanie, które wiąże się z twoimi wcześniejszymi opowieściami. Tłumaczysz głównie mężczyźn. Jeżeli mówimy o takich narracjach męskich, narracjach kobiecych, to czy to twoje wejście w sposób myślenia mężczyźn nie impregnuje cię w odbiorze literatury kobiecej, czy nie czujesz jakiejś takiej presji męskiego postrzegania świata?

M.P.: Odnośnie do drugiego pytania teraz w świecie translatorycznym toczy się taka wielka dyskusja, bo jedna z pisarek czarnoskórych zawetowała swoje tłumaczenie przez białą młodą dziewczynę. I teraz właśnie – czy płeć ma znaczenie, czy kolor skóry ma znaczenie, czy orientacja seksualna może mieć znaczenie. Takie pytania teraz się stawia. Wydaje mi się, że nie, że jednak tutaj ta odtwórczość i otwarta głowa wystarczą. To taka świadomość tego, że właśnie wchodzimy w cudze buty, cudzy idiolekt, cudzy język i wtedy płeć już nie ma znaczenia, tylko trzeba być czujnym. Odpowiadając zaś na pierwsze pytanie: też jest dyskusja na ten temat w środowisku tłumaczy, a bardziej wśród krytyków przekładu. Krytycy przekładu, między innymi Jerzy Jarniewicz, twierdzą, że najfajniej by było właśnie mieć wybór kilku tłumaczy. Tak, jak jest z Szekspirem, no ale właśnie...

Uczestnik: No tak, ale to trzeba już być klasykiem...

M.P.: No właśnie trzeba sobie pozwolić na to. Wtedy też opowiadasz się z pewną szkołą, pewną wrażliwością, pewnym językiem i tak dalej, i tak dalej. Ja jestem zdania, że im więcej odczytań, tym więcej głosów, tym fajniej i tym lepiej. Jednej osobie łatwiej jest stworzyć spójny świat. W przypadku Gospodinowa jest to o tyle ciekawe, że on właśnie cały czas jakby pisze trochę to samo. Cały czas pisze tę jedną swoją wielką książkę wielogatunkową i ta spójność w jego przypadku jest, jak mi się wydaje, w jakiś sposób nawet wręcz pożądana.

Uczestnik: Działałaby na korzyść jednego tłumacza.

M.P.: Tak.

Uczestnik: Ja sobie zdaję sprawę z tego, że 90% przynajmniej Polaków będzie znała sposób pisania Gospodinowa z przekładów, nie będą porównywali oryginału bułgarskiego z polskim tekstem. A zatem *de facto* styl wypowiedzi tłumacza utożsamia się ze stylem wypowiedzi autora książki. Jesteś do pewnego stopnia przywiązana już do Gospodinowa, skojarzeniowo także akurat to dobrze działa.

M.P.: Albo on do mnie (śmiech).

Uczestnik: Albo tak no właśnie.

M.P.: Tak jest trochę, że są dwie strony tego medalu po prostu.

Uczestnik: Jak z każdym tłumaczeniem...

Z.K.: Będziemy już kończyć nasze spotkanie, bo ogranicza nas czas. Ja od siebie i od reprezentacji warszawskiej mogę jedynie po prostu podziękować za bardzo ciekawe odpowiedzi. A Państwu podziękować też za to, że zdecydowali się Państwo spędzić z nami Dzień Bułgarskiej Oświaty i Kultury oraz Piśmiennictwa Słowiańskiego i – mamy nadzieję – do miłego zobaczenia. Dziękuję bardzo doktor Pytlak raz jeszcze i miłego dnia.

M.P.: Wzajemnie i mam nadzieję, że do zobaczenia!

Uczestnik: Do zobaczenia! *Честит празник!*